

PLOMYK

TYGODNIK DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

ROK 20 ♦ TOM 1 ♦ NR. 7

WARSZAWA, 14 PAZDZIERNIKA 1935 R.



„ŚWIĘTA URSZULA PERŁY ROZSUŁA” (Październik)
z cyklu „Boży Rok” mal. Piotr Stachiewicz

JESIENIA

Złote listki brzoź
Dygocą, dygocą,
Bo je dzisiaj nocą
Zwarzył siwy mróz.

I padają z drzew
Jak ulewa złota,
Po ziemi je miota
Wiatru zimny wiew.

Żle tym liściom, źle,
Co zleciały z drzewa,
Wicher je rozwiewa
Na deszczu, we mgle.

Lecą z ostrym tchem
W zawieję okrutną —
Jak tym liściom smutno,
Ja najlepiej wiem. *L. Rydel*



Piątego października doktor Judym wyszedł na spacer w Aleje Ujazdowskie. Był to dzień piękny. Słońce rozlewało ciepło łagodne i blask jeszcze jasny, ale już odchodzący za dziewiątą górę, za dziesiątą rzekę. Szereg drzew Alei, których widok tak dużo wspomnień nasuwał, okrył się już rdzą czerniejącą. W dali, spomiędzy koron kulistych jeszcze, wysuwały się gałęzie bez liści, jak smutny jakiś drogowskaz. Ze szczytów sączyły się barwy trupie, zgniłe, czerwono-rude i coraz niżej wsiąkało w ciemną zieloność jasno-żółte zniszczenie. Tu liść jeszcze żywy otoczył płomień śmierci, jakby obwódka dziwnej żałoby, gdzieindziej strawił go do rdzenia, pozostawiając tylko prążki zielone. Błękit niebieski, rozciągnięty nad tą wąską smugą przestrzeni, był już nikły, zasnuty przedziwem chmurek zwianych i płynących wiotkimi pasmami w dal niedościgłą dla oka.

Doktor minął bramę i wolno schodził w głąb parku. Ogromne liście klonów płynęły z drzew i migwały przed oczyma nad ziemią to tu, to tam jak złote ptaki. Liście orzechów włoskich i drzew octowych plamiły zieloność trawników, niby krew rozlana i skrępla. Na dnie pustego parku, w cieniu sokor królewskich, niedostępnych dla słońca, spoczywał i wyciągał się mrok chłodny. Daleko, w przecięciach szpalerowych oświetlone czuby żółtych kasztanów buchały płomieniami, jak jęzory żywego ognia. Wszędzie stał rozlany w chłodnym powietrzu miły, ostry zapach liści zwiędłych.

Unikając miejsc ludnych, Judym szedł dawną aleją na koniec parku. Rosły tam najścislejsze, prawdziwie niebotyczne topole, szeleszczące jeszcze twarde liśćmi; cicho szumiały srebrne, długowłose wierzby, co patrzą w obumarłe wody kanałów, — i świerki, jak



mal. M. G. Wywiórski

posępne mnichy w czarnych habitach, zamykające odległe widoki, marzyły w samotności. Powiew śmiertelny obeszedł już wokoło te drzewa i na straży ich postawił wylekłą ciszę.

Dalekie głębie wydawały kiedy niekiedy szmer prędko gasnący, który i człowieka zmuszał do cichego westchnienia.

Gdy w pewnej chwili rozległ się gwar i śmiech dziecięcy, wydał się czemś dziwnym i rażącym wśród surowego szeptu, który mówi o śmierci.

Na gładkie łączki, niby jeziora śniące między kępami zarośli, zstępowały smugi światła prawie białego i ostremi rysami przerzynały chłodne murawy. Tuż obok drogi zasłanej liśćmi, tały się baseny wody nieruchomej, ślepej i głuchej, która przyjmując w siebie poszarpane plamy firmamentu, dawała jakieś kłamliwe ich odbicie, brzask srebrzący się a niepochwytne. Rysowały się tam

czarne pnie i gałęzie olch nachylonych. Każdy ptak siadający dla wypoczynku strącał z nich mnóstwo liści. Chłodne oddechy jesienne niosły te zwłoki skurczone i osadzały na zawsze w cichej powierzchni. Zielona woda płaszczyzn bardziej otwartych pieściła w łonie swem gałęzie kasztanów z liśćmi tak żółtymi, że się wydawało, jakoby płynna, jasna farba sączyła się z nich i w głębi odmiennej tonęła. Liście te były zwieszane, przezryste, delikatne, a rzucały na środek wody ruchome odbłaski, które z jej barwą zlewały się w podobiznę przepysznie lśniącego brązu. W jednym miejscu słońce, znalazłszy wśród przedrzędzonych liści obszerną drogę, rzuciło się w głąb wody, jak wytrysk roztopionego złota o barwie zbyt trudnej dla żrenicy. Między drzewami co chwila migały błyszczące pudła powozów, pędzących na gumowych kołach.

S. Żeromski
(Ludzie bezdomni)



WE WSI

We wsi poczynął się już zwykły ruch: poranek był jasny i chłodny, a że zaś przymrozek orzeźwił powietrze, to i różnie się poruszali i zgiełkliwiej; wychodzili gromadnie na pola, którzy do kopania szli z motyczkami a koszykami na rękę, dojadając śniadań; którzy z pługiem ciągnęli na ścierniska; którzy na wozach brony wieźli a worki pełne ziarna siewnego; którzy znów zasię wykrecali ku lasom z grabiami na ramionach, ściółkę grabić, że ino dudniło po obu stronach stawu i krzyk się wzmagał, bo drogi były zatłoczone bydłem, ciągnącym na paszę, szczekaniem psów, pokrzykami, co wybuchały raz wraz z niskiej, ciężkiej kurzawy, jaka się była wznosiła z orosiałych dróg.

Boryna wymijał trzody ostrożnie, czasem śmignął po wełnie jakie jagniątko głupie, co się nie usuwało przed żrebicą, to cielę jakie, aż i wyminał wszystkich i koło kościoła, który stał osłonięty potężnym wałem lip żółknących i klonów, wjechał na szeroki gościniec, obsadzony z obu stron ogromnymi topolami.

A że w kościele była msza święta, bo sygnaturka przedzwoniła ofiarę i huczały przyciszonym głosem organy, zdjął kapelusz i westchnął pobożnie.

Droga była pusta i zasłana opadłym

uściem tak obficie, że wyboje i głęboko powyrzynane koleiny pokryły się rdzawo żłocistym kobiercem, pociętym gęstymi pręgami cieniów, jakie rzucały pnie topoli, bo słońce zboku świeciło.

— Wio, maluśka, wio! — Świsnął batem i żrebica przez kilka stajań poszła różnie, ale potem opadła i wlekła się wolno, bo droga, choć nieznacznie, szła pod wzgórze, na których czerniały lasy.

Boryna, że go ta cisza mroczyła sennością, to poglądał przez kolumnadę topoli na pola, pławiące się w różowym, porankowym świetle, albo myśleć usiłował o sprawie z Jewką, to o granulach, ale nie mógł sobie dać rady, tak go śpik morzył...

Ptaszki ćwierkały w gałęziach, to czasem wiatr przegarnął leciuchnymi palcami po czubach drzew, że ino jaki taki listeczek, kieby motyl złoty, odrywał się od maci, spadał kolisto na drogę albo i na zakurzone osty, co zaognionymi oczami kwiatów hardo patrzyły w słońce — a topole zagwarzyły, poszemrały ścicha gałązkami i pomilkły, kiej te kumy, co na podniesienie oczy podniesą, ręce rozłożą i westchną modlitewnie, a padną wnetki w proch przed majesta-



POWRÓT Z POLA

mal. A. Kozakiewicz



ZACHÓD

mal. St. Popowski

tem, ukrytym w tej złotej monstrancji, zawisłej nad ziemią świętą, nad rodziną...

Dopiero pod lasem przecknął na dobre i wstrzymał konia.

— Wschodzi niezgorzej — szepnął, przyjrzawszy się pod światło szarym zagonom, ordzawionym krótką szczotką wschodzącego żyta.

— Kawał pola, a przyległo do mego, kieby kto z umysłu narządził. Żyto widzi mi się wczoraj posiały. — Ogarnął pożądliwem spojrzeniem zbronowane zagony, westchnął i wjechał w las.

Poganiał często konia, bo droga szła po równem i twardsza była, tylko gęsto przerośnięta korzeniami, na których wóz podskakiwał i turkotał.

Ale już nie drzemał, owiany surowym i chłodnym dechem lasu.

Bór był ogromny, stary — stał zbitą gęstwą w majestacie wieku i siły, drzewo przy drzewie, sama sosna prawie, a często dąb rosochaty i siwy ze starości, a czasem brzozy w białych koszulach,

z rozplecionymi warkoczami żółtymi, że to jesień już była. Podlejsze krze jako leszczyna, to karłowata grabina, to osyczyna drżąca, tuliły się do czerwonych, potężnych pni tak zwartych koronami i poplątanych gałęziami, że ino gdzie-niegdzie przedzierało się słońce i pełzało niby złote pająki po mchach i zielonych paprociach zrudziałych.

— Zawszy mego tu — są cztery morgi — myślał i pożerał oczami las i już na oko wybierał co najlepszy. — Przeciech Pan Jezus nie da nas ukrzywdzić — abo i same się nie damy, nie... Dworowi widzi się dużo, a nam mało. Zarno... moje ze cztery, a Jagusine z morga... cztery i jedna... Wio! głupia, sroków się będzie bojała! — Trzepnął ją batem, bo na suszce, co dzwigała Bożą mękę, klóciły się sroki tak zajadłe, aż źrebica strzygła uszami i przystawała.

— Srokowe wesele — deszczu będzie wiele. — Przypiął parę batów źrebicy i jechał kłusem.

Wł. Reymont
(Chłopi)





ORKA

mal. J. Chelmoński

JESIEŃ SZŁA

Jesień szła coraz głębsza.

Bładę dnie wlekły się przez puste,
ogłuchłe pola i przymierały w lasach co-
raz cichsze, coraz bladsze — niby te

święte hostje w dogasających brzaskach
gromnic.

A co świtanie dzień wstawał leniwiej,
stężały od chłodu i cały w szronach



PEJZAŻ JESIENNY

mal. T. Nartowski



mal. H. Weysenhof

i w bolesnej cichości ziemi zamierającej; słońce blade i ciężkie wykwiłało z głębin w wieńcach wron i kawek, co się zrywały gdzieś znad zórz, leciały nisko nad polami i krakały głucho, długo, żałośnie... a za nimi biegł ostry, zimny wiatr, mącił wody stężałe, warzył resztki zieleni i rwał ostatnie liście topolom, pochylonym nad drogami, że spływały cicho, niby łyzy — krwawe łyzy umarłego lata i padały ciężko na ziemię.

A co świtanie, wsie budziły się później: leniwiej bydło szło na paszę, ciszej

skrzypiały wierzeje i ciszej brzmiały głosy, przytłumione martwością i pustką pól, i ciszej, trwoźniej tętniło życie samo — a niekiedy, przed chałupami albo i w polach widni byli ludzie, jak przystawali nagle i patrzyli długo w dal omroczoną, siną, albo i te rogate, potężne łyby podnosiły się od traw pożółkłych i, przeżuwając zwolna, zatapiały ślepia w przestrzeń daleką... daleką... i kiedy niekiedy głuchy, żalosny ryk tłukł się po pustych polach.

A co świtanie — mroczniej było i zi-

mniej, i niżej dymy roz-snuwały się po nagich sadach, i więcej ptaków zlatywało do wsi i szukało schronienia po sto-dolach i brogach, a wrony siadały na kalenicach, to wieszaly się na nagich drzewach, lub krążyły nad ziemią, krząc głucho — jakoby pieśń zimy śpiewając żalną.

Południa były słoneczne, ale tak martwe i nieme, że poszumy lasów dochodziły głuchym szmerem i bełkot rzeki rozlegał się jak łkanie bolesne, a szczytki babiego lata rwały się niewiadomo skąd i przepadały w ostrych, zimnych cieniach chałup.

A smutek konania był w tych południach cichych, na pustych drogach leżało milczenie, a w odartych z liści sadach czaiła się głęboka melancholja żalości i trwogi zarazem.

I często, coraz częściej niebo powlekało się buremi chmurami, że już o letnim podwieczorku musiano schodzić z pól, bo mrok ogarniał świat...

Doorywano podorówkę, że niektórzy kładł skibę ostatnią już o gęstym mroku, a wracając do domu, objęwał się jeszcze za się na rolę i żegnał ją westchnieniem do wiosny.

A na przedwieczere często spadały deszcze, krótkie były jeszcze, ale zimne i coraz częściej przeciągały się do zmroku — do długiego, jesiennego zmroku, w którym jak kwiaty złote płonęły okna chat i szklily się kałużami puste drogi, a mokra, zimna noc tłukła się o ściany i pojękiwała w sadach.

Nawet ten bociek z przetrąconem skrzydłem, co się był ostał, i którego widywano samotnie brodzącym po łąkach,



JESIEŃ

mal. J. Fałata

przychodzić jął pod bróg Boryny, abo i zasię na samo podwórze, gdzie mu Witek skwapliwie podrzucał na przynętę jadlo.

A i dziady różne coraz częściej nawiedzały wieś; i te zwyczajne, proszalne, co z torbą głęboką i pacierzem długim szły od drzwi do drzwi, przeprowadzane ujadaniem piesków — a były i drugie, insze, takie, co od miejsc świętych ciągnęły — i znały Ostrą Bramię, Częstochowę i Kalwarję, a rade opowiadały długimi wieczorami, co się gdzie w świecie dzieje i jakie cuda się gdzie stały, a trafia się niekiedy i taki, któren pocichu powiadał się aż z Ziemi Świętej i takie cudenka prawil, takie kraje znał, przez takie wielgachne morza jechał, ty-

la przygód doznał, że aż dziw ogarniał słuchających pobożnie, a niejednemu i uwierzyć było trudno w to wszystko... Ale chciwie słucał, jako że kaźden rad się czegoś nowego dowiedział, a i wieczory były długie i do świtu wyspać się jeszcze można choćby i na oba boki.

Hej! jesień to była, późna jesień!

I ani przyśpiewków, ni pokrzyków wesolych, ni tego ptaszków piukania, ni nawoływań nie słycać było w wsi — nic, jeno ten wiatr pojękujący w strzechach, jeno te dźdże, sypiące jakoby

szkliwe po szybach, i to głucho, wzmagające się co dnia bicie cepów po stodołach.

Lipce martwiały równo, jako te pola okólne, co wyczerpane, szare, odarte w odpocznieniu leżały i cichości tężenia; jako te drzewiny nagie, poskręcane, żalobne, drętwiejące zwolna na długą, długą zimę...

Jesień to była, rodzona matka zimy.

Wł. Reymont

(Chłopi)



Po łące już bez drogi szli, po gładkiej, zroszonej. Pocięta była rowami, przy których rosła olcha i łoża.

— Wybierz sobie, Miś, który krzak przy tej kanawie — ot, najlepiej w niższym miejscu, przy błotku; — ja pójdę sto kroków dalej. Tędy ich dukt z Dusiaczkiego jeziora na Roszę, albo i spowrotem. Słońce chowa się — sama pora.

Zaledwie sam pozostał, zauważył Mi-

chał zmianę w programie koncertu, którego numer, ostatni dzienny, grał się w powietrzu, ale tak lekko, że ucho, przywykłe do rozlanego nawet w ciszy dźwięku, chwyciło sens jego dopiero wtedy, gdy ucichł. Jak na skinienie batury umilkły naraz przedzachodnie święgotania maleńkich śpiewaków w łożynie: trznadli, sikorek, pliszek. Przetrwał tylko najwyższy skrzypcowy brzęk koma-



SWIT NA JEZIORZE

mal. W. Weyssenhoff



CZAPLE

mal. J. Chelmoński

rów. Ale zaraz obudziły się głosy basowe, odęte strachami nocy — dalekie bąki zagadały — i ostrzegawcze, jak kołatki stróżów nocnych, zdwojone pokrzyki derkaczów. Rozpoczął się nokturn.

Strop niebieski wydawał się jeszcze tak jasnym i przejrzystym, że głębszym, niż za dnia. A jednak zbladł i mroczył się coraz bardziej, bo opóźniona w błękiecie jaskółka okazywała się muchą przy baczniejszym wpatrzeniu, a ostra chmurka przybywającego księżyca powlekała się złotem.

Na tle ciszy takiej, że nuta komara spędzonego z twarzy nabierała wartości prymu, w pustce nieba bezmiernej, łowiło jednak ucho jakieś rytmiczne szumy — — Od jezior dalekich, czy od mieszkań ludzkich powietrzne telegrafy bez drutu? — — Nie — szum roślin: w tętent podniebny, zbliża się — — to już kaczkę nad głową Michała.

Ale gdzie w błękiecie?! — chyba o sto sążni? — — A ile ich! — — kilkadziesiąt w kluczu, a tam klucz drugi trzeci — —

— Szu—szu—szu—szu—szu—szu...

Nie dziw, że łoskot słycać zdaleka, skoro taka ich ćma. — — Ale jeżeli tym szlakiem ciągnąć będą dzisiaj, to żadnej nie dostaniemy.

Po rozczarowaniu inna nadciągała dolegliwość: komary ciężki nieznośnie, chociaż Michał wsadził głowę w krzak i przeciw regułom myśliwskim palił papierosa. Legjony ich przybywały od tego błotka, przy którym stanął, za poradą Stanisława. Opędzał się niecierpliwie, trzaskał się to po rękach, to po karku.

Wtem ujrzał Stanisława, zbliżającego się w lekkich susach. Co takiego? — — Dopadł i podał mu flaszeczkę.

— Masz tu olejek gwoźdźkowy; posmaruj sobie ręce, szyję i twarz; pilnuj tylko, żeby do oczu nie zalazł. Komar ciebie ani powącha.

— Dziękuję ci, mój Stachu — — ale ty? —

— Ja już cały wysmarowany, aż lepki. — Deszcz jutro będzie, kiedy tną tak zajadle. — I pilnuj teraz! — —

Do oddalającego się mówił Michał:

— Ależ my stoimy na stanowiskach niezbyt spokojnie.

— Nie bój się! tutaj im droga przepisana — nie zбочą one — — I pyszny ciąg będzie, widać to po pierwszych stadach.

— Tylko djabło wysoko ciągną!

— Bo jeszcze jasno. Pójdą niżej — obaczysz —



AGŁY

mal. J. Rapacki

Jeszcze Stanisław nie doszedł do swego stanowiska, gdy nowy ogromny klucz zaszumiał nad głową Michała. Musiał lecieć trochę niżej, niż poprzednie, bo z lotnego pułku doleciało kilkakrotne kwaknięcie, zapewne dowódcy, ostrzegającego o zasadzce. Stanisław wymownymi gestami dawał znać z oddalenia, że można było już strzelić.

I natychmiast dał przykład.

Przeciągało nad Pucewiczem stado mniej gęste i złożone ze sztuk, które wydały się Rajeckiemu najmniejszym gatunkiem cyranek. Stach dał ognia z obu łuf. — Po drugim strzale od rozpędzonego stada odłączyła się jedna sztuka ze złożonymi skrzydłami, zniżając się ogromnym łukiem ku łące, rosnąc w oczach, aż brzdękła głośno o trawę duża krzyżówka. Fox skoczył natychmiast i zaaportował.

— Ot widzisz! — krzyknął Stach — można —

Michał powiał kapeluszem, winszu-

jąc pięknego strzału, cicho zaś strofował się:

— Mogłem z tamtego stada choć jedną ściągnąć. Trzeba tylko ufać strzelbie i odważyć się nawet dwa sążnie przed dziób mierzyć. — A zawsze w jedną sztukę i dokładnie — nigdy w kupę!

Nadciągały właśnie kaczki nad błoto. Pelen świeżych postanowień Michał wymierzył do pierwszej sztuki i strzelił. Rozległo się w powietrzu żałośnie kwakanie i kaczka, z przetrąconem skrzydłem, jęła spadać dziwacznym zyg-zakiem, ciągle kwacząc, aż klapnęła w mokradło. Tyle miał Michał emocji z tego widowiska, że nie strzelił już z lewej lufy. Hetka zaś, czy zrażona hałaśliwym zachowaniem się spadającej kaczki, czy że nie raczyła nóg zamoczyć, stała na miejscu, pomimo rozkazu, aby aportowała. Trzeba było wezwać pomocy żarliwego Foxa.

Ciemniało. Kaczki płynęły teraz trochę niżej przez blado-błękitną porcela-

nę nieba, czasem przekreślały długim szeregami złoty sierp księżyca, jakby wzorem japońskich wazonów.

Strzelanina trwała wściekła. Kaczki, niezbyt przebiegłe wogóle, głupiejają jeszcze na ciągu. Po kilkudziesięciu strzałach w jednym miejscu nieustannie waliły nowe pułki na tę dolinę śmierci, mając jedyną obronę w nadzwyczajnej szybkości. Myśliwi nie żalowali prochu; i chociaż najlepszy strzelec zużyje przeciętnie trzy ładunki na jedną kaczkę przy tych warunkach oddalenia, rozpedu i zaniku światła, zdarzały się piękne myśliwskie efekty. Stanisław dał kilka dubletów, z których jeden wspaniały do wysokiego stada: spadły dwie sztuki zabite tak piorunowo jedna po drugiej, że trup gonił trupa po wielkim łuku spadania. Michał znów zabił aż pięć sztuk z jednego stada, które po pierwszym dublecie zawróciło, dając mu czas do ponownego nabicia strzelby i do zwałenia jeszcze trzech sztuk dwoma strzałami.

Ale teraz ciemniało już na dobre i ciąg zdawał się wyczerpanym. Przez kilka minut nie nadleciała ani jedna kaczka. Michał już chciał ruszyć z miejsca w kierunku do Stanisława, gdy mu ten dał znak, aby pozostał przy błotku. I słusznie — gdyż nadciągały niebawem marudery wojsk powietrznych, nisko i powolniej, niż poprzednie pułki, zapadając pojedynczo na błotko pod samymi nogami Michała. Jedyną przeszkodę stanowiła rosnąca ciemność. — Tyle było do roboty teraz przy błotku, że Stach podążył na pomoc Michałowi.

Strzelanina przeszła w rodzaj opędzania się od nadlatujących kaczek. Czasem cień tylko zawisnął w powietrzu — prało się do tego cienia poomacku, z przyrzutu, a kiedy skutecznie, ciężka sztuka spadała w wodę między trawą, bryzgając głośno. To znów myśliwi czuli aż na twarzy wiatr bliskich skrzydeł przelatujących w niespodziewanym kierunku.

Józef Weysenhoff
(Soból i panna)



Wojtek ta jako Wojtek. Z drogi nic nie powiéd, ale tys ta za jego drógom nie ujedzie...

Pada mu siostra: Zéń sie! — a on jej: Ja ci sie haw bedem zéniéł, kie pachnie!...

Pado mu szwagier: Wojtek, zje dyć byk sie przecie ozéniéł! — Wojtek zaś: Dajciez pokój, swoku, buki cyrwieniom!

Jedno tak na wiosnę, drugie na jesień. I coż mu powiéd? Z drogi nic nie pedział — na wiosne pachnie, na jesieni liście na bukach zółkną, a potem czerwienięją.

Dla Wojtka był cały świat. Był on tak, jako to ów zbójnik Nowobilski, co se rad śpiewał:

Hejze ino, ino jedź,
bo jo lepszy, jako kmiéd,

a u kmiccía dzieci som,
a jo hłopiec ino som!

Bo u Wojtka nie było baby, ani dzieci nie było. Miał Wojtek siostrę i ta się wydała, a oprócz tego małą chałupkę o jednej izbinie i bardzo mało pola. Ale że Wojtek był dość fajnie urośniony, niesłaby i zdatny, byłby się mógł przyżenić do gruntu, bo go i wdowy majątne i dziewczki posażne chciały, ale on nie chciał.

To mu na wiosnę pachło, to w jesieni buki po reglach czerwieniały — nie miał on czasu o takich rzeczach, jak żeńba, myśleć.

Wojtek se juhasił, bacą bywał, na strzyzki gwizdał, a w zimie ta wyżył jako tako z tego okrawka pola, co miał i z tego, co przy owcach zarobił. Dużo mu nie trza było, bo nie pił.



W GÓRACH

mal. W. Wanke

Ino się siostra i szwagier, uczciwy chłop był, martwili, bo co ś nim bedzie? A siostra się wydała dosyć obdalno do innej wsi, o pięć mil, dzieci było huk, to się i o brata starać nie mogła. Co sie razy spotkali, to zaraz do Wojtka: zéń

się i zéń się! — a Wojtek ta zawdy swoje i swoje.

Zeń się — wiera! A najgorzej jesień.

Listki drżą na gałęziach — osiki, olsze, skorusze, jawory, jasionie, buki... Żółkną, czerwienieją, spadają...





BABIE LATO

mal. J. Chelmoński

Wojtek dobrze wie, co gadają drzewa...

Mój Wojtecku, mój Wojtecku,
tracimy liść po liścieku,
kie nam syćkie liście spadnom,
aj, budzie nam w zimie biédno,
aj, budzie nam w zimie biédno...

— Zeć! Moje ślicne, piękne! — myśli Wojtek. — Ja wam ig haw nie przizrimien na gałęzi...

O Boże mój, Boże! Kiedy się jesień rozgarnęła złota, niebieska i czerwieniąta, już ty, siostró, ty, szwagrze, Wojtkowi o żeńbie nic radź!

— Swoku — pada mu szwagier, kładąc woreczek na ławie we Wojtkowej izdebce — posłała wam siostró se mnóm krapke mąki na moskale i odkaz, cobyście sie przecie zenił. Bo co bedzie?

— Jako: co bedzie?

— Dyjeście przecie nie nomłodszy. Pięć śtyrdzieści macie.

— Ze dyć wiem.

— No to co bedzie? Przidzie starość, a tu, Panie broń, niéma wto łyżki strawy podać, głowę na wyrku dźwignonć.

Staremu a samemu to nie tak. Abo i w horości — samo to.

— Hem — kiwie Wojtek głową — moiście wy! Ma mi baba za usami mrajceć, majom mi dziecyska kolo ścian brzejsceć, je! Bajto! Śmierzc to ino raz, a horość to ta tys nie przez umiar.

Tydzień, dwa tyźnia — aboś zdrów, aboś hań! A tu to i trzidzieści roków pojeden prziz babie stęka. Bacycie wy, swoku, Murzańskiego z Gronia?

Gęsiolecki i basy,
Murzańskiego to ciesy,
a kądziółka, wrzeciono,
boday sic to zbeśniło!

— Zje, kie wam, swoku, jino figle w głowie. Bedzicie załować. Pan Bóg je miłosierny, ale je niewierny. On cłekowi rozum dał, coby se radziół. Haw ci cłece rozum dajem, ale Mi nie dowierzaj. Strzezonego Pan Bóg strzeze, leniwego kijem rzeze. On ta i was, swoku, wyrzeze, boście leniwy do jego wóle. On cłekowi babe stworzół, coby mu do pomocy bęła.

— Mnie ta w robocie nie przeręcy. Ja, jedno juhas, drugi niestrasny gazda.

— Nie to! Ale cok wam gadał? Starość, a horość.

— Ej ja ta nie s takiego rodu, co długo zyje, a wié to wto pewnie, jako umre? Moze sie ka skała we Wołosynie urwie, abo niedźwiedz przy baranie przisiednie, no to niebedzie długo. Kieby ja wiedział, zebyk długo horować kie miał, no, tobyk ta jescé mészł. Ale to nie pewne — a babsko pewne.

— Coz was tys ta té baby tak omierzły?! Ludzie na świecie!

— Je! Ja se kcem do pola, na wieśne pachnie świat: Wojtek! Orba! Ja se kcem na buki jesieniom wyżreć: Wojtek! Młocba! A spod téj haw ściany: tato, jeść! a spod téj hań znowa: tato! pié! E! Bodaj was ta z takim robotom! A tu u mnie ciho, cihućko. Kie na pościel legnem, dźwiérze uhyłone, bo ja ta z juhasienia zimy zwyczajny, nierad zapieram, każdziućki liść slišem, jak sumi, gwiazdy mi cihućko pedzom: Wojtek! Śpis?

Nie śpiem! — Dobry wiecór!...
Dobry wiecór!

— Coz? — pyta sie siostra Wojtkowa męża, kiedy do domu wrócił. — Usłuhnon cie?

—

— Nie fce sie zénić?

— Zeć to cudak i cudak, sama wiés! Uciókek haństela, bo sie mi jaze łeb zawracała, kie gadał. To głupie.

— Głupie. Zawdy takie béło — powiada smutno Wojtkowa siostra.—Z małego waryjak i waryjak. Jesień to mu buki cyrwieniom... Nie tak ci pedział?

— Ja ta ani nie rozumiał temu, co radziéł do mnie. Bělby prawie po śmierzci hodzić. Kieby tacy sytka béli, toby sie świat skońcél.

— Odpokutuje on, odpokutuje! — biadkała siostra Wojtkowa. — Zmarnił zycie, dary Boskie, a Bóg mścicy. Nie na to psu dajom, coby oźłał. Aleś mu ta moze nie napedział, jako trza?

— Je to przecie nie krowa, cobyś jéj wiesyce na siłę w owsianem cieście dawala, ba hłop! Cok wiedział, tok pedział. Więcyl nié.

— O! Bedzie tys ś nim biédno kiesi, bedzie...



mal. J. Chelmoński



JESIENIA

mal. S. Masłowski

— Darmo! Z takim cudake nic nie dokazes. Z pajencyny kosule nie uprzedzies, a z huby bryje nie uwarzisz.

— No iści, iści — przychwaliała Wojtkowa siostra smutno.

A Wojtek ta jako Wojtek.

W lesie pasie, a zresztą po świecie patrzy, po drzewach, po liściach. Na wiosnę się zieleni, jaze gra, jesienią tyle kolorów na reglach, aż oczy bołą. Godziny całe Wojtek siedzi przed chałupą i patrzy. A nie przeszkadzał mu nikt, bo chałupa na boku stała, za wsią, w górze przy laskach. Nieraz i miesiąc zeszedł, a nikt się koło niej nie przewinął, bo po co? Pustelnia to była. Mogłeś cejco robić.

Ale Wojtek o to mało dbał, a jak mu sie między ludzi chciało, to do wsi zleciał. Jego ta nogi nie bolały. A patrzył se kielo fciał.

I stroiło mu się to w rozmaite barwy w oczach. Z dnia na dzień liście inaczej świeciły.

Zrazu sie ich chwytala ordzew, rdzewiały, jak żelazo, potem sie stawały bu-rakowe, wiśniowe, złociste, potem pło-wiały, zglewiałe od mrozów.

A wokoło nich stał smrekowy las,

wiecznie ciemno-zielony, dopóki go śnieg nie obielił.

Jeżeli cudnie wyglądała jasna zielen buków i skoruszy wpośród smreków w lesie, że się czasem zdawało, że lotna mgła zielona na las spadła, to w jesieni dopiero był cud Pana Boga!

— Świecy ze im tys to, świecy, ty po-cérwieniate liście, tym hań smrekom! — szeptał do siebie Wojtek. — Teloż byś dukaty i korale w trawie poozciskował. A jesse nie tak, ale kiebyś gwiazdami polane posiał...

I patrzył.

A kiedy się zimą biało zrobiło, pa-trzał Wojtek, jak się do słońca las lśni, albo też, kiedy go wicher poomiatał, po-znawał Wojtek buki i jawory, które na-gie, czarne konary z bieli śniegowej do-były. I cieszył się, kiedy wicher na wio-snę odął z zewa i słońce z deszczem pier-wsze wypustki liści wyprowadzały, kie-dy drzewa „kwitły”.

Nieraz tam jeszcze siostra i szwagier o żeńbie przepedzieli, ale ta z tych prze-powiedni nic nijako nie wyszło.

I żył Wojtek rok po roku, aż się oz-niemógł. A ozniemógł się prawie wte, kiedy dwoje dzieci siestranych na łoż-

nice chorowało i ostał sam. Nikogo przy nim nie było w izdebce. Bobby i nawet nie miał kim do siostry posłać.

Leży i leży na pościeli, jeść się nie chce, ale pić do usknięcia. A tu się dźwignąć nieporada, bo nogi jak z powróseł, a wody podać niema kto.

Minął dzień, minęła noc, mija drugi dzień — Wojtek leży. Jesień była.

— He! — myśli sobie — kieby przecie haw wto przy mnie bęł, lekcój by bęło umierać. Trza bedzie, widzem, przez ksiendza za brzyzek...

Bo Wojtek widział, że z nim źle i że ś niego juz nic.

Leży taki chory i wtedy sobie dopięro myśli:

Mięły Mocny kany!
Dobrze — rzeke — padała siostra: zęń sie, dobrze — rzeke — padał i swagier... Zje dyć kiebyk przecie haw babe miał, nie umierałoby sie mi jako psu. Pusto koło mnie, jako koło sałasa w zimie. Eć!

I tak sie mu luto samego siebie stało, aż mu płacki w oczach postajały.

W izbie tak cicho, jak w grobie. I ciemno. Wieczór nadchodził, a zapalić kaganka nie miał kto.

Wszystko się stało dziwne.

Ława, dwa stolki, co je Wojtek miał, stół, piec: wszystko się rozmgławiło i jakby ruchome stało.

— Łazom na izbe, cy jako? — myślał Wojtek.

Okna się w ścianach poczęły chwiać, krzywić, pochylać to na prawo, to na lewo, to wdół, to wgóre. A za oknami ćma, mrakota, także falująca, niby woda w głębi ruchoma.



LAS JESIENIA

mal. A. J. Sipiński

— Rzókbyś, ześ do Wielgiego Stawu, do śródka, z izbom wjahał, a ono kieby wiater wodom ode dna huział...

I coraz słabiej się Wojtkowi czyniło, już mu się nawet pić chcieć ustawało, tylko go straszny smutek brał, że tak samotny umiera.

— He — powtarzał sobie — he, kieby bęł usłuhnon,.. Dobrze — rzeke — padała siostra, dobrze — rzeke — padał swagier... Zjedyjek teraz sam, jak suha limba pod siodle... *)

Wtem przez okno, przez szyby, poczęła się do izby wsuwać czerwona gałęź bukowa. Patrzy Wojtek, a za nią jawor gałęzie wysła, wierba, skorusza...

*) Siodło w tym razie oznacza jakąś przełęcz.

A przez drzwi się pchają olszyny,
osiki, brzezina...

Liście czerwone, żółte, złociste...

I zioła przez próg suną liście —
szczaw, bylica, krzewi się fioletowy
wzros...

I szafirowe małe jesienne goryczki,

co tuż nad ziemią rosną, świecą się przy
podłodze i mówią: icie! icie! i my haw
jest!...

Zaczerwieniło się, zazłociło, zakwitło
we Wojtkowej izbie.

I tak umarł.

K. Tetmajer



O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny
I pluszcze jednaki, miarowy, niezmienny;
Dżdżu krople padają i tłuką w me okno...
Jęk szklany... płacz szklany... a szyby w mgłę mokną,
I światła szarego blask sączy się senny...
O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny...

Wieczornych snów mary powiewne, dziewicze,
Naprawdę czekały na słońca oblicze...
W dal poszły przez chmurną pustynię piaszczystą,
W dal ciemną, bezkresną, w dal szarą i mglistą...
Odziane w łachmany szat czarnej żałoby,
Szukają ustronia na ciche swe groby,
A smutek cień kładzie na licu ich młodem...
Powolnym i długim wśród dżdżu korowodem
W dal idą na smutek i życie tułacze,
A z oczu im lecą łzy... Rozpacz tak płacze...

To w szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny
I pluszcze jednaki, miarowy, niezmienny;
Dżdżu krople padają i tłuką w me okno...
Jęk szklany... płacz szklany... a szyby w mgłę mokną,
I światła szarego blask sączy się senny...
O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny...

Ktoś dziś mnie opuścił w ten chmurny dzień słotny...
Kto? Nie wiem... Ktoś odszedł i jestem samotny...
Ktoś umarł... Kto? Próżno w pamięci swej grzebię...
Ktoś drogi... wszak byłem na jakimś pogrzebie...
Tak... szczęście przyjść chciało, lecz mroków się zlekło.
Ktoś chciał mnie ukochać, lecz serce mu pękło,

Gdy poznał, że we mnie skrę roztląć chce próżno...
Zmarł nędzarz, nim ludzie go wsparli jałmużną...
Gdzieś pożar spopielił zagrodę wieśniaczą...
Spaliły się dzieci... Jak ludzie wkrąg płaczą...

To w szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny
I pluszcze jednaki, miarowy, niezmienny;
Dżdzu krople padają i tłuką w me okno...
Jęk szklany... płacz szklany... a szyby w mgłę mokną,
I światła szarego blask sączy się senny...
O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny...

Przez ogród mój szatan szedł smutny śmiertelnie
I zmienił go w straszną, okropną pustelnię...
Z ponurem, na piersi zwieszonem szedł czołem
I kwiaty kwitnące przysypał popiołem,
Trawniki zarzucił bryłami kamienia
I posiał szal trwogi i śmierć przerażenia...
Aż strwożon swem dziełem, brzemieniem ołowiu
Położył się na tem kamiennem pustkowiu,
By w piersi łkające przytłumić rozpaczę,
I smutków potwornych płomienne łyż płacze...

To w szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny
I pluszcze jednaki, miarowy, niezmienny;
Dżdzu krople padają i tłuką w me okno...
Jęk szklany... płacz szklany... a szyby w mgłę mokną,
I światła szarego blask sączy się senny...
O szyby deszcz dzwoni, deszcz dzwoni jesienny...

Leopold Staff

POD SMĘTARZEM

Pod smętarem czerwienił się już
zdala rząd kobiet pochylonych i zasnu-
tych delikatną mgłą dymów, a wkrótce
i głuchy, monotonny trzepot miądlic jął
raz wraz dopływać z powiewem, co się
był podnosił z nizinnych łąk.

— Dobry czas na miądlenie. Zleżę
przy nich, bo jest tam i Jaguś moja.

— Nic mi z drogi, to was podwiezę...

— Dobrzyście, Macieju, że jaże mi
dziwno... — uśmiechnęła się chytrze.

Skręcił z topolowej na polną dróżkę,
co biegła do smętarnych wrót, i pod-

wiół pod smętarz, gdzie pod kamien-
nym, szarym płotem, w cieniu brzoź, klo-
nów i tych krzyżów, co się z mogiłek po-
chylały ku polom, kilkanaście kobiet
miądliło zawzięcie suchy len, aż mgła
pyłów wisiała nad niemi i długie włókna
czepiały się żółtych listków brzoź i wi-
siały u czarnych ramion krzyżów; wpo-
dle, na prętach rozpiętych, nad dołami,
w których paliły się ognie, przesuszano
len mokrawy jeszcze.

Miądlice ostro kłapały, aż cały rząd
kobiet pochylał się ciągle w krótkich



SŁONECZNIKI

mal. W. Wanke

a prędkich drganiach i tylko coraz któraś się prostowała, roztrzępywała przysgarśc lnu z ostatnich październików, związała ją w kulkę albo w chochoła i rzucała

przeszły po nim, że świsnął batem i odjechał, ale raz wraz się obracał za nią, choć już widna nie była, bo mu jak żywa stała w oczach...

Wł. Reymont (Chłopi)

JESIEN W MALARSTWIE POLSKIM

Jesień należy naprawdę do najpiękniejszych pór roku. Mówiąc o niej, wyrażamy się zazwyczaj: „polska, złota jesień”. Ale to jeszcze za mało, gdyż jesień polska jest przede wszystkim tęczowa, tęczowa na ziemi i niebie.

Wszyscy kochamy jesień i wielbimy jej przedziwną urodę, ale najbardziej chyba tęsknią za nią ci, dla których świat składa się tylko z barw, t. zn. artyści malarze. Oni to we wrześniu i październiku czują się tak, jak w raju.



JESIEŃ

mal. J. Umińska

Wszędzie, gdzie tylko spojrzeć, kolor i kolor, a przecież dla malarza barwa

obrazy tego mistrza, czujemy, że człowiek ten pokazał nam nietylko zewnątrz-

jest tem, czem dla ry-
by woda! Więc nic też
dziwnego, że w czasie
tym powstaje bardzo
wiele pięknych dzieł,
stworzonych przez uta-
lentowanych artystów na
płótnie, czy papierze.
Urodę polskiej jesieni
utrwał zapomocą farb
prawie każdy z więk-
szych, sławniejszych ma-
larzy polskich. Dzieła te
zdobią ściany muzeów,
tak, że zawsze możemy
je podziwiać albo w ory-
ginalie, albo też w posta-
ci reprodukcji.

Ale do najpiękniej-
szych obrazów jesien-
nych, jakie spotykamy
w naszej sztuce, na-
leżą napewno płótna,
stworzone ręką Józefa
Chełmońskiego. Weźmy
choćby taką „Orkę”,
„Babie lato”, czy „Pa-
sterza”, pasącego trzodę
na pastwisku. Patrząc na



mal. J. Rapacki



JESIEN

mal. J. Ryszkiewicz

ną urodę ziemi, ale i jej tajemniczą duszę. Duszę pełną jesiennego smutku i żaloby.

Pięknie też oddał urok jesieni na płótnie znakomity malarz krajobrazów, Jan Stanisławski, rozkochany w stepo-

wych burzanach, w chmurach, rzekach i kwiatach. Malutkie jego obrazki zdobią, jak klejnoty, muzea polskie.

Zaś Ferdynand Ruszczyc, sławny malarz wileński, w dziele swem pod tyt. „Ucieczka” świetnie uchwycił i utrwalił



KRAJOBRAZ JESIENNY

mal. T. Nartowski

na płótnie grozę jesiennej, nocnej burzy, huraganu zginającego brzoźową aleję. A potem przepiękne dzieła sztuki, osnute na kanwie jesieni, dali tacy artyści, jak: Fałat, Popowski, Wyczółkowski i wielu, wielu innych malarzy, tak, że można rzec całkiem śmiało, że jesień, będąc najpiękniejszą i najbarwniejszą porą roku, jest jednocześnie wy-

marzonym czasem dla artysty malarza, rozmiłowanego w niesłychanej, aż bażecznej jej barwności.

Nie wszyscy jednak ludzie potrafią dojrzeć piękno świata, skąpanego w kolorach i słońcu, i właśnie ci przede wszystkim, urok świata i cały przepych jesieni mogą dopiero zrozumieć, patrząc na obraz. To im dopiero oczy otworzy.

Józef Nikodem Kłosowski

JESIEŃ

Szumiał las, śpiewał las,
gubił złote liście,
świeciło się jasne słońko
chłodno a złościście...

Rano mgła w pola szła,
wiatr ją rwał i ziębił;
opadały ciężkie grona
kalin i jarzębin...

Każdy zmierzch moczył deszcz,
płakał, drżał na szybkach...
I tak ładnie mówił tatuś:
jesień gra na skrzypkach...

J. Czechowicz

NASZE RADIO

Kochani słuchacze! Na ten tydzień Radjo przygotowało dla Was sporo ciekawych audycyj.

A więc: we wtorek, 15 października, od godz. 12 m. 15 do godz. 12 m. 30 nadana będzie bajka z wierszykami i piosenkami p. t.: „O piesku Burku, kotku Mruczku i gąsce Gęguli” pióra p. Ewy Zarembiny.

W środę, 16 października, od godz. 16.00 do godz. 16 min. 20 zajmująca pogadanka z cyklu: „Wędrowki dokoła globu” pod tytułem: „Mały Ibrahim w Algierze”. Dowiedzie się wielu interesujących szczegółów o życiu i obyczajach Arabów. Słuchowisko jest napisane w formie dialogu i z ilustracją muzyczną.

We czwartek, 17 października, o godzinie 16.00 Stary Pan Doktor opowie bajkę „O kocie w butach”. Zapewniam Was, że warto słuchać tej bajki, gdyż będzie niespodzianka.

W piątek, 18 października, o godz. 12 m. 15 Radjo zaprasza Was na śliczną rewję jesienną, w której zamiast osób, wystąpią różne jarzynki. Rewja ma tytuł: „Święto jesieni”.

I tego samego dnia od godz. 16 m. 45 do godz. 17.00 rozgłośnia lwowska nada ciekawe opowiadanie p. t. „Niezwykle przygody panny Gapy”. A kto to taki ta panna Gapa, niechaj radjo samo Wam opowie.

W sobotę, 19 października, od godz. 18.00 do godz. 18 m. 30 będzie słuch-

wisko p. t.: „Jak Sing zgadł, że kulą jest nasz świat”. Przełożyła je z angielskiego i opracowała p. Kossuthówna. Bohaterami słuchowiska są dwaj chłopcy chińscy, Sing i Ging, którzy po wielu tajemniczych i niezwykłych przygodach dochodzą do wniosku, że ziemia jest okrągła. Opowiadanie ilustruje muzyka i usłyszycie oryginalne melodie chińskie.

W niedzielę, 20 października, od godziny 16.00 do 16 min. 15 audycja z Wilna p. t.: „W co się będziemy bawili”. Będą gry i zabawy, w których wezmą udział dzieci wileńskie.

W poniedziałek, 21 października, od godz. 18 min. 30 do 18 min. 40 usłyszycie „Wierszyki i bajki dla dzieci” Juljana Tuwima.



Więc dowiedzieć się gdzie jedziemy, wysiąść w pierwszym porcie i wrócić do Gdańska. Potem zebrać pieniądze i odkupić staremu Koczmarze łódkę.

— Ale chyba przedtem zatelegrafować do rodziców i komendanta, żeby się nie niepokoili? — dorzucił Breloczek.

— Brawo Breloczek! — powiedział Julek.

— Więc teraz pójdę do kapita-
na... — zaczął Mietek i naraz zatrzymał się.

— Co takiego?

— No, przecież... przecież ja się z nim nie dogadam!

— Pójdziemy we dwóch! — zerwał się Julek. — Ja raz przeglądałem angielską książkę „Skouting for boy” i zdaje mi się, że pamiętam kilka słów.





Znaleźli więc naprzód sternika Dżemsa i Julek zaczął na nim próbować swojej angielszczyzny:

— Spytam go się, gdzie się można umyć — powiedział do Mietka i salutując sternikowi, zaczął:

— Ser Dżems!.. Do licha, co tu dalej? „Ja” to zdaje się po angielsku jest „aj”. Ale jak „mycie”? Ser Dżems! Aj end camerad...

Tu zniecierpliwiony Julek pokazał rękami ruch mycia i skrzywiony Dżems zaprowadził ich do umywalni. Potem przegryźli po sucharze i ruszyli na poszukiwanie kapitana.

Znaleźli go na mostku kapitańskim, gdzie wydawał się jeszcze dłuższy i chudszy.

— Gud baj! — powiedział Julek.

— Gud moring! — odpowiedział kapitan.

Julek patrzył spod oka na kapitana i mruzczał:

— Niby kapitan jesteś, a nie umiesz się po ludzku rozmówić. Myślisz, że to się komu może spodobać, jak tak bełkoczesz, niczem indor. Niewielka sztuka: na drugi raz wezmę gorących kartofli w usta i też będę bełkotać po angielsku.

Mietek szepnął:

— No, mów-że!

— Taaak! Ciekawym jak? — odszepnął Julek.

— Przecież mówiłeś, że umiesz...

Kapitan spoglądał kolejno to na jednego, to na drugiego, wreszcie powiedział po francusku:

— Czy znacie francuski język?

Okazało się, że obaj znają co nieco. Zakiwali więc usilnie głowami:

— Uj! uj!

Jednak rozmowa szła jak z kamienia i gdyby nie nadrabianie gestami i pokazywania na migi — niewieleby się dowiedzieli.

Wacek i Breloczek czekali niecierpliwie na powrót swoich posłów i przyjęli ich gradem zapytań:

— No, co? Jak? Dokąd jedziemy?

Mietek siadł na taburecie przymocowanym do ściany i chrząknął.

— Posiedzenie rozpoczęte! — powiedział Julek.

Mietek przedstawiał sprawę. Otóż okazało się, że okręt idzie do Indji i za dwa miesiące będzie spowrotem.

Akurat na początek roku szkolnego. Kapitan obiecuje darmo przewieźć ich tam i spowrotem. Zresztą niema wyboru, bo okręt nigdzie się nie zatrzymuje.

— No, dobrze! — bąkał Wacek. — Ale tyle czasu gdzieś tam jeździć...

— Bez łaski! — zawołał Julek. — Możesz wracać, jeżeli chcesz, ale chyba piechotą przez morze. Jak nie chcecie, to pojedziemy we dwóch, ja i Mruczysław. Zresztą niema innego wyjścia.

— Chyba nie we dwóch, tylko we

trzech? — wysunął się Staś. — Bo jabym też chciał razem z wami...

— Brawo, Breloczek! Zuch Breloczek!

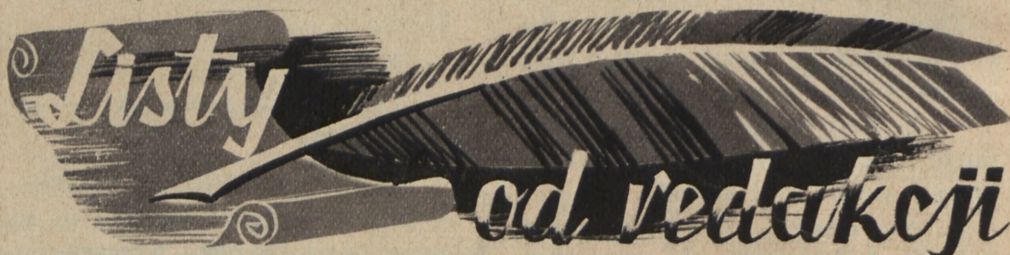
Wacek skrzywił się trochę i powiedział:

— Może myślicie, że się boję? Wcale nie! Pojadę także i koniec.

W ten sposób Wygwizdów został na okręcie. Okręt nazywał się „Wiktoria”. Była to fregata handlowa, przewożąca towary; pasażerów na niej nie było. Załoga była niewielka, ale sprawna i wyrobiona.

D. c. n.

Jerzy Ostrowski



Drodzy Czytelnicy! Nadeszły do mnie listy od członków Koła miłośników zwierząt i ptaków.

Przyjaciele ptaków z Horodyszczu zapytują, czy zbieracie już różne nasiona, i czy gromadzicie zapasy dla przyszłych stołowników. Kółkowicze pragną, aby jaknajwięcej czytelników mogło dokarmiać głodne ptaki w zimie i dlatego chętnie nawiążą korespondencję z różnymi szkołami i udziela potrzebnych rad i wskazówek. A więc:

1. wyszczególnią, jakie nasiona i w jakim czasie należy zbierać,
2. jak przechowywać zebrane nasiona,
3. jak sporządzać karmiki,
4. kiedy rozpoczynać dokarmianie ptaków.

Pewnie kółka dokarmiające ptaszki będą chciały skorzystać ze zgłoszenia i napiszą pod adresem: Koło miłośników zwierząt i ptaków przy szkole powszechnej w Horodyszczu. Ponieważ przy wielu szkołach istnieją Koła miłośników przyrody, Płomyk pięknie prosi członków tych Kół o nadsyłanie swoich adresów.

Witam Gromadkę Czwartaków ze Lwowa i dziękuję za pozdrowienia. Czy pierwszy rok prenumerujecie Płomyk?

Uczennice i uczniów klasy IV-tej w Brzeźnicy proszę o podanie dokładnego adresu, ponieważ chcę ułatwić Wam nawiązanie korespondencji z innymi szkołami.

Dzieciom z Krasnej podaję adres pana Gustawa Morcinka: Skoczów śląski, WP. G. Morcinek.

Klasy V i VI szkoły powszechnej w Witaszycach pragną korespondować ze szkołami na Pomorzu i Polesiu i proszą o zgłoszenia pod adresem: Klasa VI, Szkoła powszechna w Witaszycach, pow. Jarocin, woj. poznańskie.

Spełniam prośbę Czytelników w Witaszycach i podaję dwa adresy polskich szkół zagranicą:

Francja. L'école polonaise, Chalette, Loiret par Montargis.

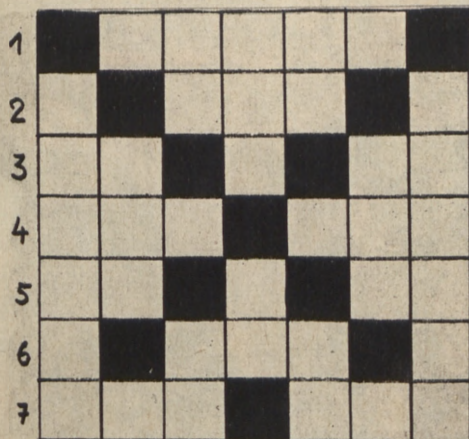
Niemcy. WP. Lisiewicz. Polnishes General Konsulat, Pinzenanerstr. 15, München.

NIE KAŻDY SNADNIE TO ODGADNIE

REBUS



KRYŻÓWKA



Znaczenie wyrazów poziomo:

- 1 — część nogi;
- 2 — spółgłoska, owad, spółgłoska;
- 3 — dom pszczół, samogłoska, zaimek w l. mn.;
- 4 — 12 miesięcy, zbiór drzew;
- 5 — karta, spółgł., zaimek w 3 przyp.;
- 6 — spółgłoska, nie tu, samogłoska;
- 7 — pytanie rachunkowe, zwierzę domowe.

Pionowo: pierwszy rząd da nazwę czerwonych, słodkich jarzyn, ostatni — nazwę pory roku.

ZAGADKA

Sześćdziesiąt biegnie pędem,
sześćdziesiąt szybko kroczy,
a dwa tuziny,
powolne dziewczyny,
przechodzą rzędem
w dzień i w nocy.

SZARADA 1.

Pierwsza — to słoń prawie cały.
Druga — żeński zaimek.
Całość — jesienne chmury
w noc, czy w dzień biały
zsyłają zgóry.

SZARADA 2.

Pierwsza — przyimek w jednej literze.
Pierwszą i drugą gdy razem bierzesz,
otrzymasz domki, w których wesoly,
gromadny żywot prowadzą pszczoły.
Trzecią otrzymasz stylu i sprzodu
w nazwie wielkiego polskiego grodu.
A całość w czasie jesieni
panuje na naszej ziemi.

ROZWIĄZANIA Z Nr. 6-ego

Rebus: sztuka amatorska na scenie.
Zagadka 1 — dekoracja; 2 — bez li-
tery „t”; zagadka 3 —

XV

22

83

zagadka 4 — echo. Szarada 1 — kurty-
na; 2 — muzyka.

WARUNKI PRENUMERATY:

W prenumeracie pojedynczej:		W prenumeracie zbiorowej (od 10 egz. wwyż)	
miesięcznie	zł. 1.10	miesięcznie	zł. —.84
półrocznie	„ 5.—	półrocznie	„ 4.—
rocznie	„ 10.—	rocznie	„ 8.—

POJEDYŃCZY NUMER „PŁOMYKA” KOSZTUJE 30 gr.

ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: WARSZAWA, UL. SMULIKOWSKIEGO 1.
(wejście od ul. Dobrej Nr. 6). Nr. telefonu administracji 2.69-49, redakcji 6.30-28.

Konto czekowe P. K. O.: „Związek Nauczycielstwa Polskiego — Zarząd Główny —
Warszawa” — Numer konta 435.

PRENUMERATORÓW WARSZAWSKICH OBSŁUGUJE BIURO ADMINISTRACJI PRZY
ULICY ŚWIĘTOKRZYSKIEJ 18, TEL. 5.22-18. BIURO CZYNNE OD G. 9-ej DO 7-ej W.

Redaktorzy: M. KOTARBIŃSKI i ST. MACHOWSKI. Kierownik artystyczny — K. PIENIAŻEK.
Wydawca: w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego — STANISŁAW MACHOWSKI.

